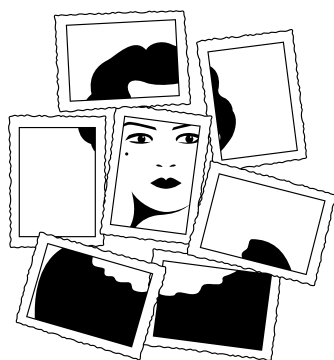




JACEK DEHNEL

LALA

To jest darmowy fragment powieści.

Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw co wydarzy się dalej,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art



Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca

ROZDZIAŁ I

Już teraz dom w Oliwie wygląda inaczej. A kiedy babcia umrze, a umrze niebawem, i mogę to napisać zupełnie spokojnie, bo po pierwsze, dawno wszyscy pogodziliśmy się z tą myślą, a po drugie, ona i tak tego nigdy nie przeczyta, bo w ogóle już nie czyta, wszystko się zmieni nie do poznania. Rzeczy zostaną odziedziczone i będą sobie musiały znaleźć inne półki i szafy w innych mieszkaniach. Stendhal z Julkową dedykacją, który przez ostatnie trzydzieści lat stał grzbiet w grzbiet z *Trzema opowieściami* Flauberta, stanie pomiędzy innymi książkami. I co będzie ze zbiorami szkła, z tymi trzema czy czterema setkami wazonów, kielichów, dzbanów i buteleczek, czerwonych, szafirowych, żółtozielonych, z bąbelkami i bez, opalizujących, spękanych, oszronionych?

Kiedy tak siedzi jak stara chińska cesarzowa, niepomna władzy ani powinności, okutana w jakieś pledy i wielkie kamizele, w końcu taka chudziutka, lekka i drobna, trudno ją połączyć z naszą pamięcią, w której nie ma miejsca na wycieranie nosa, pampersy i ciągle milczenie. Tyle tylko, że się uśmiecha – dlatego możemy się pocieszać, że jest na swój sposób szczęśliwa, ale to tak jak mówienie o uczuciach ukwiału albo rafy koralowej.

Więc taki jest koniec tej historii. A gdzie się zaczyna?

Może w Lisowie? W małym, zapyziałym, pachnącym opadłymi jabłkami Lisowie, który tak mnie rozczarował, gdy

wybrałem się w podróż do tej obiecanej ziemi, do Kanaan, którego geografię znałem doskonale z jej opowieści, wiedziałem, gdzie furta, którą otwierał łbem koń, gdzie salon, gdzie pokój ciotki Róży, gdzie popiersia Napoleona i Lenina, gdzie wielki stół, na którego rogu złodzieje kładli srebra, i wreszcie gdzie biurko, z którego dziewięćdziesięcioletnia praprababcia Broklowa spędzała Niemca. A tu co? Najokazalszą częścią dworu był komin, wokół którego stały resztki murów. Rysowały na ziemi jakiś niewyraźny prostokąt, miejscami wysoki na pół metra, miejscami na metr, z pewnością znacznie mniejszy niż dawny dwór, bo przez środek kilku pokoiów przeprowadzono miedzę i na dawnym miejscu fortepianu rosły kartofle albo gryka.

Nie, może raczej w czynszowej kamienicy na prospekcie takim a takim, niezły adres w Kijowie, gdzie mieszkały trzy rodziny – Bienieckich, Karnauchowów i Korytków, a moiżre oplatały ich apartamenty zawikłaną siecią niteczek?

A może wreszcie w owej dziwnej przestrzeni, której za nic nie potrafię sobie wyobrazić, bo nie jestem młodym-polskim-zbuntowanym-pisarzem-jeżdżącym-na-wschód, w owej dziwnej przestrzeni zwanej Ukrainą, gdzie rosły inne od naszych rośliny i mieszkali inni od naszych ludzie, mówiący studziennymi, ale śpiewnymi głosami, ci chłopcy chodzący w zgrzebnych płóciennych koszulach, którzy z kłonicami i widłami gonili automobil prapradziadka Brokla?

Nie wiem, gdzie zacząć tę historię, bo przecież zaczynałem ją już tyle razy; i teraz, i dziesięć lat temu, kiedy z emfazą właściwą piszącym czternastolatkom umyśliłem sobie tytuł: *Gazale polskie*, bo gazala to „wiersz jak sznur pereł”, więc do osobnych i połączonych zarazem wątków narracji babcinej nada się wysmienie; i wreszcie tyle jeszcze razy, kiedy niczego nie zapisywałem, tylko opowiadałem moim przyjaciółom, kuzynkom, ukochanym i pasażerom ekspresów relacji Gdańsk–Warszawa i Warszawa–Gdańsk.

Prawda bowiem leży gdzie indziej. Historia tak naprawdę zaczyna się, jak zwykle, kawałkami, to tu, to tam, w najróżniejszych miejscach i ciałach, które przeważnie od dawna nie istnieją, a jej szafarką, klucznicą była dotychczas babcia. Babcia wykonana z rzetelnych i trwałych materiałów, która po drobnych naprawach i poważniejszych remontach jeszcze parę lat temu zachowywała tyle blasku i wdzięku, że kiedy przyjeżdżali do mnie z wizytą przyjaciele z odległych krain, prowadziłem ich właśnie do niej, bowiem to właśnie ona spośród wszystkich zażytków mojego północnego miasta wydawała się najbardziej fascynująca.

*

Do uroków babci – w czasach, kiedy jeszcze mówiła – należały początki opowieści. W gruncie rzeczy była (i jest) to zawsze jedna i ta sama opowieść, zawikłana i pociemniała nie do poznania pod warstwami różnorodnych werniksów i sadzy, zaczynająca się w mnóstwie miejsc i w zasadzie nigdy się niekończąca, najwyżej przerywana z końcem wizyty lub z zapadnięciem zmroku. Dodajmy, że zapadnięcie zmroku w sensie końca rozmów i początku ceremonii kładzenia się spać, następuje w Oliwie najwcześniej koło północy i nie zawsze jest definitywne, bo wielka historia ma to do siebie, że rozkłącza się, rozkłębia, rozrasta po peryferiach i w najmniej oczekiwanych chwilach, i tak naprawdę to ona nas okiełznuje, a nie my ją.

Początek przeważnie zaplata się jak jakiś na wpół roślinny wąs, na wpół zwierzęcy chwytny ogon; owija się wokół przedmiotu, osoby, zapachu, anegdotki, a potem szaleje, szaleje, puszcza odrosty i rozplecia się w całe zagajniki słów i point; niepowstrzymywany, mnoży się bez ładu i składu, studzi herbaty, rozgotowuje makaron, płoszy z pamięci ważne sprawy. Ot co.

Może wyglądać na przykład tak: „Kiedy byłem z wizytą u hrabiów Krasińskich i zrzuciłam z gerydonu araukarię...”, albo:

„Kiedy dziadek Leonard stał przed carskim plutonem egzekucyjnym...”, albo wreszcie, dajmy na to: „Kiedy w Lisowie jakiś złodziej wyciął sierocie z pola całą kapustę...” – słowem, nigdy nie wiadomo, gdzie się znajdzie słuchacz, zaglądający do środka świata przez nagle odsłoniętą soczewkę. To znaczy: przypadkowy słuchacz, jeśli bowiem idzie o nas, znamy historię – pokawałkowaną na osobne rozdziały, ale zawsze – w najdrobniejszych szczegółach.

– Kiedyś, wyobraźcie sobie, babcia Wanda, a miała już wtedy dziewięćdziesiątkę z hakiem, koło południa po prostu znikła z Lisowa. Środek wojny, wszędzie Niemcy. Szukamy tu, szukamy tam, nie ma wolanta i nie ma woźnicy. Biegamy, martwimy się... co macie takie miny?

– Znamy.

– Znacie? – babcia pyta z niedowierzaniem, ale wcale się nie peszy, nic a nic – to jak się kończy?

– Wróciła od fryzjera...

– Faktycznie znacie – babcia zasępia się na chwilę, ale w mgnieniu oka odzyskuje rezon – ale to wcale nie szkodzi. Kiedyś, wyobraźcie sobie, babcia, a miała już wtedy dziewięćdziesiątkę... no i wróciła. Z trwałą ondulacją. „Mam ponad dziewięćdziesiąt lat – powiedziała – i głupio byłoby umrzeć, nie mając ani razu trwałej ondulacji”.

*

Margot chodzi po moim pokoju z filizanką w dłoni i szuka czegoś nowego. Kiedy ją odwiedzam, robię to samo. „Skąd to masz?” – pytam. „A to co?” – pytam. Jej świat jest bardzo piękny i harmonijny, to znaczy, że wszystkie jego części są równie fascynujące. Margot ma na imię Małgorzata, czyli Margherita, czyli Perła, a perła w każdym miejscu jest równie perłowa.

Podchodzi teraz do szafki i podnosi zdjęcie.

– Kupiłeś na Kole?

– Nie, to z domu. Uprosiłem u babci, bo zostały takie dwa.

Prawie nie mam jej fotografii z dzieciństwa. Nie wiem, jak wyglądała babcia Wanda, dziadek Leonard, wuj Maciej, ciocia Ewa, ciocia Sasza, Milewski, Apollo z szelkami, nie wiem nawet, jak wyglądał Lisów². Podczas ofensywy Rosjanie – Radziety lub Sowietci, mówi babcia, Rosjanie to byli przed rewolucją, a potem była radziecka tłuszcza – rozpalili w kominku zdjęciami, które leżały w wielkiej drewnianej skrzyni stojącej w sieni. Spłonęła fotografia Romusi nad kopą jaj, którą musiała codziennie, jajko za jajkiem, wypijać, co i tak nie pomogło na jej galopujące suchoty, spłonęła fotografia dziadka Brokla w białym prążkowanym garniturze, wspartego o lśniącą karoserię pierwszego samochodu na Ukrainie, spłonęły fotografie ojca w nieodmiennym kapełuszu na nieodmiennie łysej głowie, spłonęły fotografie mamy w luźnych sukienkach, spłonęły pocztówki z dalekich miast o szumnych nazwach i sepiowe reprodukcje rzeźb i obrazów z przestronnych sal odległych muzeów.

Nie ma twarzy. Nie ma dłoni. Nie ma futryn, stołów, grafik, stosów czasopism i książek o złożonych brzegach.

Tych parę, dosłownie parę sepiowych migawek... przynajmniej tyle. Prababcia wyprostowana jak struna, wcięta w talii, wsparta na czarnej parasolce, w tle światło przesiane przez liście obcych drzew, chyba platanów, i umieszczony w rogu biały podpis „Abbasia”.

Mój Boże... Abbasia...

– Mama miała takie piękne proporcje – słyszę zza pleców głos babci – takie piękne... wygląda na wysoką, a taka była

2 Fotografie, znajdujące się w tym wydaniu i w tomie opowiadań *Życie Lali przez nią samą opowiedziane* w większości zobaczyłem już po wydaniu *Lali*. Część z nich znalazła się u rodziny (u rodziny Sulkiewiczów, kuzynów ze strony Broklów, u Galiny Karlauchowej, którą poznałem parę miesięcy przed jej śmiercią, u wuja Pawła, syna Lali), część pochodzi z albumu z okresu II wojny światowej, który wypłynął podczas likwidowania mieszkania w Oliwie.



Irena z Broklów Bieniecka w Abbacji
(dziś Opatija), fot. Ivan Letis, ok. 1905.

małeńka, sięgała mi o tu, do ramienia, kiedy byłam młoda, teraz pewnie do policzka, tak się maleje. ale i tak, spójrz no, proporcje wysokiej kobiety, a do tego taka wcięta w pasie. I zawsze poruszała się biegiem, drobnym truchcikiem; nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek normalnie szła. Jak była chora, szurała powoli nogami, tak samo ostatniego dnia, kiedy umarła, siedząc w tym fotelu, ale żeby zwyczajnie szła? Nie. Zawsze biegła.

*

Kiedy świat był jeszcze bardzo młody, w miastach stiukowo-złocony, na wsiach ciężki od zapachu leżących w trawie owoców i krowiego nawozu, ludzie byli mniejsi. Może nie mieli się po co wspinać i rzadziej niż dziś stawali na palcach, może jedli, nie

stosując się do mądrych zasad zdrowego żywienia, i rozrastali się w innym kierunku, a może po prostu nie zależało im na byciu wyższymi, bo wszystko, czego im było trzeba, znajdowali w bliskości ziemi.

Dziadek Leonard miał metr pięćdziesiąt z kawałkiem, kruczoczarne włosy – dopóki nie zmienił się w białego kruka – śniadą cerę i błękitne oczy.

„Wandeczka – pisał w pamiętniku, który po jego śmierci babcia odnalazła z Julkiem w szufladzie intarsjowanego biurka – uważa, że ja jestem nie Brokl, że jestem hrabia, de Broglie, tylko zniekształcone, bo mam taką południową urodę. Ale z tego, co wiem, tośmy z biedy na psach przyjechali z Niemiec i osiedli tutaj, Brokle z dziada pradziada, najwyżej Brockle...³”.

Tamtego zimnego styczniowego dnia Sowietci spalili wszystkie fotografie dziadka, więc kruchy układ miękkich tkanek pokrywających jego szkielet formalnie przestał istnieć dla przyszłych pokoleń. Próbowałem sobie nieraz wyobrazić tego pogodnego, dobrze wychowanego starszego pana (który całe życie zdawał się być starszym panem, bo takim zapamiętała go jego wnuczka), miłośnika i kolekcjonera sztuki, bibliofila i erudyty, który z zawodu był chemikiem, a z życia – posiadaczem ziemskim, choć i jedno, i drugie nie wychodziło mu najlepiej.

– A pan starszy – powiedział mi skulony, stary Tarapatka, kiedy wybrałem się do Kanaan – to w niedzielę po sumie kupował pod kościołem torbę cukierków i my, dzieci, biegliśmy za nim aż pod dwór, bo wszystkie te cukierki rozdawał... pan starszy to pana babci dziadek, pan dziedzic.

Pan dziedzic wcale nie urodził się dziedzicem, tylko mieszcuchem, i to biednym. Po polsku mówił chyba w pierwszym

3 Dziadkowie Leonarda, Piotr i jego żona, według rodzinnej tradycji byli właścicielami rozległych dóbr w okolicach Truskawca. Zmarli ok. roku 1820 podczas epidemii cholery, osierocając synów, których nieuczciwy opiekun pozbawił całego majątku.

pokoleniu i nie dam głowy, czy nie przyszedł na świat w Niemczech⁴. Ale skoro nauczył się polskiego, to nauczył się i kontusza, i karabeli, i husarii, zatętniły w nim jakieś tętna słowiańskie i z właściwą osiemnastolatkom fantazją postanowił bić się w powstaniu styczniowym, po czym pojechał na Sybir jako prawdziwy polski patriota.

W bliżej niespamiętanych okolicznościach dziadek Brokl skończył studia chemiczne, wrócił z Syberii, zamieszkał w Kijowie, poznał na wylot najtajniejsze zagadnienia cukrownictwa, doszedł do stopnia profesora i poślubił babcię Wandę, która była kobietą bardzo mądrą, ale niezbyt inteligentną, a następnie spłodził czworo dzieci i został milionerem.

Myliłby się ten, kto teraz wziął biednego Leonarda Brokla za starannie zakamuflowanego rekina finansjery. Dziadek nie znał się ni w ząb na stopach procentowych, dywidendach czy kursach; pędził życie pijanego dziecka we mgle. Traf chciał jednak, że ktoś poradził mu wykupić spory pakiet akcji pewnej firmy. Ten sam albo inny traf chciał, że akcje w kilka dni bardzo zyskały na wartości, bo cesarstwo przeżywało właśnie boom gospodarczy. Dziadek zaś, którego ta rozrywka najwyraźniej bawiła, ruszył oszczędności i dokupił jeszcze parę pakietów. A że akcje znów ruszyły w górę, w przeciągu miesiąca stał się jednym z najzamożniejszych ludzi w Kijowie.

W ten sposób powinny się kończyć wszystkie historie.

Ale na ogół, niestety, trwają dłużej.

Dziadek kupił sobie cukrownię, automobil i wielki dom. Podróżował po całym świecie, skupując obrazy, lakowe parawany, rzeźby i meble; prowadził korespondencję z uczonymi cukrownikami w Berlinie i Paryżu.

– No i stąd te koszule w Lisowie – mówiła babcia, składając zdjęte ze sznurów pranie, kiedy już wysuszyło się w wietrzyku

4 Jak widać z poprzedniego przypisu, wcale tak nie było, rodzina musiała osiąść w Polsce znacznie wcześniej.

południa – dziadek podróżował po Europie i co rusz uskarżał się na tamtejsze pralnie, że źle piorą, że stawiają stemple, gdzie popadnie... zresztą, sama się o tym przekonałam, bo kiedy Julek oddał w Brukseli koszule do prania, to mu wbili stemple na gorsie i potem jeszcze się dziwili, że zrobił im awanturę. Dziadek nie robił awantur – po prostu kupował tyle koszul i kołnierzyków, ile potrzebował, i wracał do Kijowa, do Mnina, do Morawicy z kuframi pełnymi bielizny. Jeszcze z Lisowa, wiele lat później, chłopci wynosili te koszule całymi koszami. Rozumiesz, suszyły się na sznurach, to oni myk-myk, i już połowy nie ma. Albo wieczorem, stały w koszach pod oknem, to wślizgiwali się cichutko i rano nie było ani śladu. A i tak szafy były pełne.

Babcia Wanda z Dziewiątkiewiczów⁵ była niziutką, drobną kobietą o stosownym do jej rozmiarów rozumku. Dożyła sędziwego wieku lat dziewięćdziesięciu – może dlatego, że jej niewielkie ciało zużywało małe porcje czasu, a doniosłe wydarzenia oszczędzały ją, omijając szerokim łukiem. Jeszcze jako małą Wandeczkę po śmierci rodziców oddano ją do klasztoru, wielkiego szarego budynku o grubych murach i długich korytarzach, po których całymi dniami niesło się cichutkie echo drobnych kroków zakonnic i pensjonariuszek, z każdą sekundą uświadamiając im, jak małe są wobec potęgi Pana i zagadnienia posagu. I stamtąd, z kamiennie-drewnianego relikwiarza osadzonego gdzieś we wschodnich puszczach, między matecznikami, w których roilo się od strzyg, i jeziorami pełnymi topielców, zabrał Wandeczkę Leonard Brokl, który wrócił z zesłania i postanowił wstąpić w okowy małżeńskie. A kiedy Wanda zechciała Niemca, ten poślubił ją przed Panem, na dobre i na złe, nieświadomy faktu, że za jakiś czas zostanie milionerem. Wandeczka była tego faktu nieświadoma bardziej jeszcze niż Leonard, który był przynajmniej mężczyzną, miał jakieś plany

5 W dokumentach z epoki dwie formy nazwiska: Dziewiątkiewicz i Dziewiątkowska.

swoje i zamiary, wykluwające się powoli w zwojach jego naukowego mózgu; a ona – cóż ona? Czy jeśli się jest sierotą z klasztoru, pozbawioną niemal posagu, to czeka się na milionera?

I tak jak w nabożnej opowieści, cnota skromności i rezygnacji została nagrodzona bogactwem, przepychem i rozkoszami świata – logika pobożnych opowieści na ogół jest podejrzana – a Wandeczka trafiła w kręgi wielkich tego świata – świata Kijowa 1875 roku, skrzącego się od świec płonących w wysokich kandelabrach, migającego w salach balowych toaletami z Paryża i frakami z Londynu, spływającego strumieniami szampana i strugami pereł.

– Ponoć strasznie się kochali; babcia Wanda opowiadała mi, ach, ach, że dziadek to wycalowywał ją całą, calutką, od stóp do



Leonard Brokl na plaży w Kołobrzegu
fot. atelier Rembrandt, ok. 1905.

czubka głowy, ani jednego skraweczka ciała nie zostawił bez pocałunku – i babcia chichocze, nieświadoma chyba faktu, że tak samo chichotała pewnie jej babcia, opowiadając to swojej wnuczce – nie wiem, co on w niej widział, bo nie była ani wielkiej urody, ani inteligencji... przez dwadzieścia pięć czy trzydzieści lat mieszkała w Kijowie i nie nauczyła się rosyjskiego, tylko trochę dukała po francusku; tyle, co z klasztoru. Była w tych wszystkich Paryżach i Rzymach, Brukselach i Wiedniach... no, oprócz Londynu, Nowego Jorku i Japonii, bo kiedy raz wypłynęli na Kanał La Manche, to dostała takiej choroby morskiej, że trzeba było zawrócić statek... lekarz powiedział, że nie przeżyje do drugiego brzegu... i odtąd, jak mawiał złośliwie Julek, dzia-dzio jeździł tylko za wielką wodę... ale ja nie o tym. Rozumiesz, podróżowała i podróżowała, ale co się spytałam, jak to w Galerii Drezdeńskiej, a jak w Muzeum Starożytnym w Berlinie, to mówiła, że w Dreźnie fatalne sklepy, a z Berlina przywiozła sobie piękny jedwab, ale galerii to nie pamięta; dziadek po tym latał, czymś się ekscytował, kupował dzieła sztuki, ale ją to nudziło. Za to miała wiele życiowego sprytu, dzięki czemu ładnych kilka razy ocalała życie Leonardowi Broklowi, który, jakkolwiek niewysoki, całymi dniami chodził z głową w chmurach, był łatwowierny i niezaradny jak dziecko.

Tu następuje historia, którą babcia opowiada zawsze wtedy, kiedy ma do czynienia z jakąś skomplikowaną maszyną. Wystarczy, by przy śniadaniu – o, niebywałe śniadania oliwskie, zasługujecie na osobny akapit! – grzanki wyskoczyły z głośnym trzaskiem z tosteru, wystarczy, by rodzice przywieźli czajnik elektryczny („Coś takiego! Ja myślałam, że go sobie w try miga spalę, bo nie gwizdże, a jak nie zagwizdże, to zapomnę, a tu, proszę, sam się wyłącza! No, wprawdzie trwa to za krótko, bo zwykle zdążyłam nastawić wodę, pokroić bagietkę, posmarować masłem, zrobić kanapki, przygotować ogórki i pomidory, i dopiero wtedy czajnik piszczał. Wtedy zalewałam herbatę w imbryczku wrzątkiem i stawiałam koło

czajnika, żeby nie stygło... a teraz raz-dwa. Ale za to na wierzchu ten nowy czajnik jest taki płaski, to tam stawiam imbryczek”), wystarczy, by ktoś reperował piecyk czy pralkę, a babcia na to:

– No proszę, taka pralka (toster, radio, latarka). Ile w tym śrubek, ile tych blaszek i pokręteł, i lampek. Znasz, jak dziadek Brokl jechał przez Ukrainę?

– Nie znam – mówię, ale babcia albo nie słyszy w tym ironii, albo nie chce jej usłyszeć.

– Dziadek miał automobil, pierwszy na Ukrainie. Miał oczywiście w komplecie szofera, ale często prowadził sam, ot tak, dla przyjemności. Były takie zdjęcia, jak stoi przy aucie w zsuniętych na czoło okularach do jazdy, w rękawiczkach specjalnych, w prochowcu narzuconym na garnitur w prążek... taki luksusowy i schludny od stóp do głów, jakby go wyprodukowano razem z automobilem i kompletnym strojem tylko do tej fotografii. No, ale jeśli jeździł z babcią, to brali szofera i płynęli przez dzicz ukraińską, przez bezkresne pola i lasy, po nieprzyjaznych drogach, pod niebem bezmiernym. Burzany, rozumiesz, i tak dalej. I kiedyś tak pod tym bezmiernym ukraińskim niebem musieli się nagle zatrzymać na środku gościńca, bo obstała ich czereda zarośniętych ukraińskich chłopów, na wpół wściekłych, na wpół przerażonych, potrząsających sierpami, siekierami i kłonicami, wrzeszczących bez ładu i składu, że to czort jedzie. Dziadek już kazał szoferowi przedzierać się przez tłum, ale babcia wzięła sprawę w swoje drobne, bohater-skie ręce, kazała sobie otworzyć, wyszła na drogę, podniosła woalkę i spytała się – oczywiście po polsku, bo po ukraińsku nie umiała – co to za pomysły z tym czortem. To oni wrzeszczą, ale już ciszej, że to czort jedzie, czartowska kareta, bo bez koni, a się rusza. Babcia: „A parowóz widzieliście?” Nie widzieli. „A sieczkarnię znacie?” Nie znają. Wreszcie doszła do jakiejś młockarni, czy czegoś – i znali. „Ale – dowodzą spryciarze – młockarnia silnik ma!” „A to też ma” – odparła babcia, wywo-

łała ze środka szofera, który już kurczowo ściskał w dłoniach ciężką korbę, przydatną w razie walki wręcz, kazała mu otworzyć klapę automobilu i pokazać chłopom silnik, chłodnicę i co tam jeszcze. I odstąpili. Ba, wysłali do następnych wsi wiadomość, że to nie diabeł, że silnik ma – i odtąd już ich nie zaczepiano.

Nie wierzysz że to już koniec? Masz rację!
To był darmowy fragment powieści, jeśli chcesz
dowiedzieć się jak to się naprawdę kończy
(oraz dać się zaskoczyć kilka razy po drodze),
zapraszamy do nas:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca